

I. 607.965

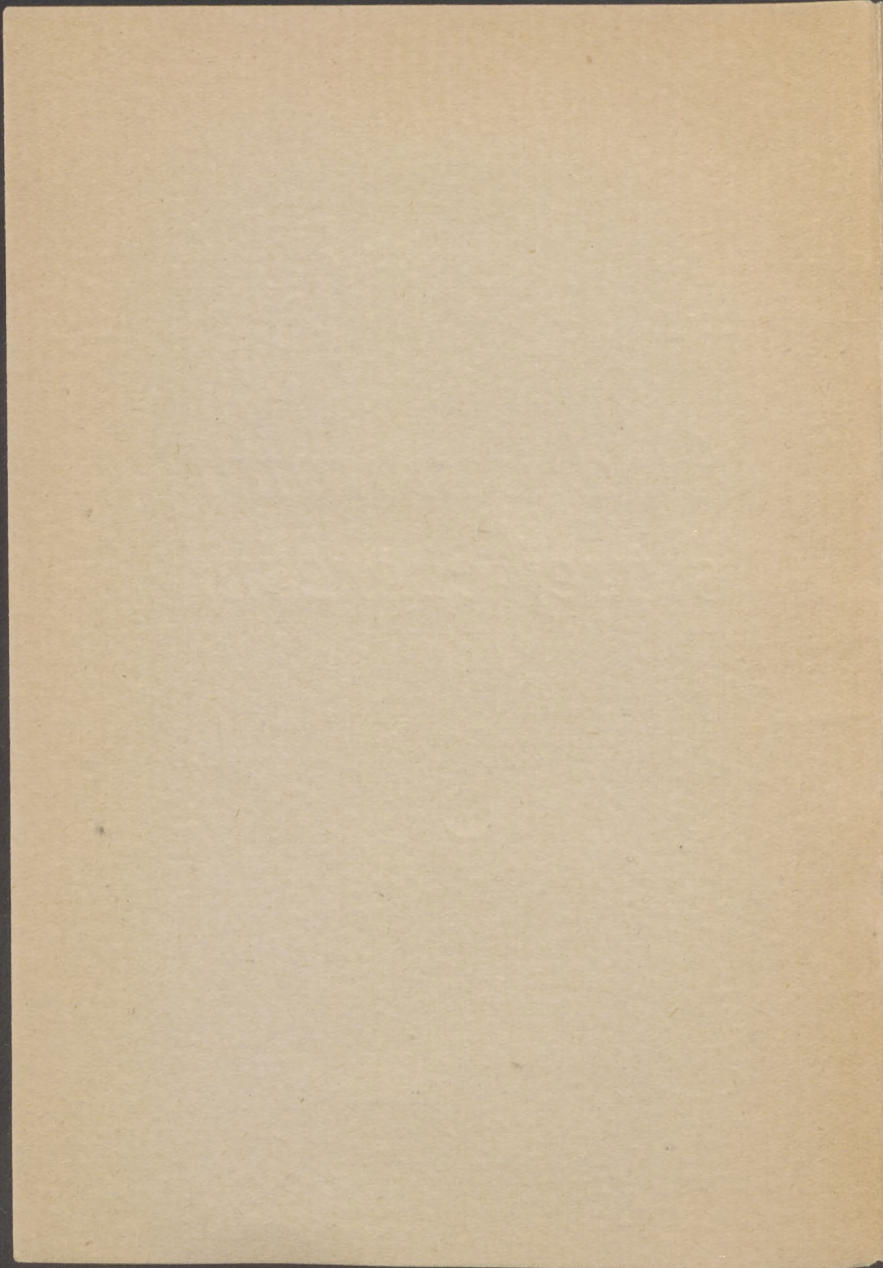
400
L

Dr Bronisław Świdorski.

*Pod konarami
starej czereśni*



Nakładem autora



Dr Bronisław Świdorski.

*Pod konarami
starej czereśni*

Nowela na tle baśni o śpiących rycerzach
na górach osieckich.



Nakładem autora



I-607765

Odbito czcionkami Drukarni Leszczyńskiej
„Głos Leszczyński”

1939

Poświęca dawnej parafii świerczyńskiej

AUTOR



Stary, piękny kościółek parafialny w Świerczynie.

Pociąg dawno minął Zgorzelec *) i pędził, jak widmo, wynurzając się chwilkami z ognistych kłębow dymu i pary, ku śląskim nizinom. Już łagodniejsze kreślił serpentyny przez łużyckie parowy, mieniające się wierzchołkami modrzewi w złocistych barwach gasnącego słońca. Poza oknami wagonu, przyćmionymi tu i ówdzie witrażem opalizujących kryształków lodu, majaczyła smętkiem grudniowego wieczoru śnieżna zadymka. W jednym z przedziałów siedział Adam Zawirski, na którego sennej twarzy malowało się zmęczenie wskutek długiej podróży. Wysmukły młodzieniec wracał, po całorocznych studjach w niemieckim Strassburgu, w strony rodzinne, by w zacisznym zakątku Wielkopolski spędzić świąteczne wakacje w domu stryja, starszego, pełnego zacności, plebana. Kilkugodzinną drzemkę w przedziale pustego wagonu przerwał Zawirskiemu miarowy stuk zwalniającego kuriera. Pociąg dobiegał kresu swej

*) Zgorzelec — po niemiecku Görlitz.

jazdy. Z łoskotem, odbijającym się głuchem echem, wtoczył się dysząc na dworzec leszczyński. Nagle przystanął po krótkim szamotaniu się w buforach. Głośny okrzyk konduktora „Lissa, alles aussteigen“^(*) wywołał z wagonu tylko jednego pasażera. Adam Zawirski, nie ujrawszy nikogo na pustym peronie, ruszył ku wyjściu i w tem usłyszał podniesiony głos zbliżającego się stryja. Jeszcze chwila a obaj padli sobie serdecznie w ramiona.

— „Wybacz, że cię nie powitałem już na peronie, kochany chłopaku. Nie moja w tem wina; zaczepił mnie pewien Niemiec i ot powód mego opóźnienia. — Strasznie to niepoprawni ludzie ci Niemcy — odezwał się jeszcze zirytowany jegomość.

— Toć i u nas stryju, nie inaczej. Nie ma dnia, by w restauracji po francusku mówiącego Alzatzczyka Prusak nie zaczepił.

Lodowe podmuchy śnieżycy nie pozwoliły im dokończyć na wietrznym dziedzińcu dworca dalszej pogawędki. Doszli więc szybko do słomą przeplatanych sań, na których koźle siedzia-

^{*)} Leszno, wszyscy wysiadać!

ła w baraniej czapie i obszernym ko-
żuchu skulona postać starego woź-
nicy.

— „Jazda Walenty! Przez miasto o-
strożnie, a za opłotkami popuścić lej-
cy!“ rozkazał jegomość. Oszronione
konie różnym klusem popędziły głu-
chemi ulicami, zasłanemi grubą war-
stwą śniegu. Jedyne monotony od-
głos dzwonek odbijał się stokrotnem
echem o marzące w skąpem oświet-
leniu mury kamienic. Niebawem młode
kasztany znalazły się poza miastem
i ruszyły ku Osiecznie z kopyta. Noc
była ciemna. Wichurna śnieżycą chło-
szcząc twarze jadącym, zapierała od-
dech swem mroźnem tchnieniem, mi-
mo wilczury stryja i ciepłej odzieży
Adama. Dopiero gwałtowne pochyle-
nie sań na ostrym zakręcie drogi po-
łożyło kres dotychczasowemu milcze-
niu, gdyż wyrwany z zadumy stryj
zagrzmiał w stronę woźnicy:

— „Nie spać Walenty! — maluczko,
a w rowie byśmy leżeli.“

— „A cóż więcej, stryjaszku, spo-
wodowało na stacji zatarg z Niemca-
mi?“ zagadnął teraz Adam, odetchną-
wszy swobodniej i zaciekawiony koń-

ca przerwane go na dworcu opowiadania.

— „Ach, chłopcze kochany, już tu u nas niemal każde polskie słowo drażni ucho Niemca. Ledwo dojechał na dworzec i przemówił do Walentego, rzucił nam w twarz przechodzący obok kolejarz butne słowa: „In Lissa wird nur deutsch gesprochen“. *) Oczywiście, sprawiłem mu nienajgorszą małą kapłańską reprimendę. Tak, mój drogi, nie ma dnia, by nam nie dokuczano, uciążąc naszej godności narodowej i deptąc wszystko, co polskie. Już i dzieciom nie dają w szkołach spokoju, karząc za mowę a nawet za pacierz w ojczystym języku. Ostatnio żandarmowi nawet przydrożne wierzby polskie u mnie zawadą były, gdyż mówił, że gałęzie zagrażają strąceniem jego pikelhaubie. Tak gawędząc wjechali w osiecki las sosnowy, którego korony drzew ugięły się pod ciężarem śnieżnych płatów, oblanych poświatą księżycowej nocy.

Zadymka już ustąpiła. — Niebo, wyiskrzone tysiącym gwiazd, rzucało złotą smugę na zbiegającą się w dali szo-

*) W Lesznie mówi się tylko po niemiecku!

se, pokrytą lśniącym w miliardach diamentów całunem białego puchu. Ponad drogą oszklonymi wisiorami okiści mróz już okrył płaczące brzozy. Filigranem zaś ich sopli, mieniących się w różnobarwnej grze promieni księżyca, stwarzał miraż cudownej nocy grudniowej. Właśnie wynurzali się z lasu, gdy Walenty machinalnie uchylił czapkę i mruczając pacierze mocniej ściągnął konie, które, strzyżąc uszami, nagle jak opętane w bok uderzyły, okrążając pień olbrzymiej czereśni. Zwierzęta, lichem jakimś spłoszone, nerwowymi podskokami popędziły z góry ku sylwetkom w dolinie rysującej się wsi Trzebani.

— „Wszelki duch Pana Boga chwali“ — jęknął z pod sumiastych wąsów, robiąc znak krzyża świętego, przerażony woźnica, oglądając się trwożliwie za tajemniczem drzewem, wyciągającym swe nagie konary, jakby straszne macki, ku oddalającym się saniom.

— „A cóż tam, Walenty, znowu?“ — odezwał się zaniepokojony ksiądz Stanisław. — „Przy łonem drzewie jakiś lichy kusi, z przeproszeniem księdza jegomości. Jeszcze chłopakiem będąc, zawsze tu, kiedym jechał jak dziś

przed północą, konie dęba stawały. A na łowych pagórkach widywali niejeden raz ludziska całe gromady cudacnych koni, nawet bez łbów i łogonów, pędzące w bory łoniewskie przed chmarą strasznych upiorów.“

— „To śpiący rycerze“! — przerwał mu pleban. — „A jęki dochodzące często z konarów tej starej czereśni towarzyszą zjawisku mrozącemu krew w żyłach przechodzącego tędy człowieka“ — zakończył Walenty.

— „To bardzo ciekawe podanie“ — zagadnął dotychczas milczący Zawirski. — „Ciekawe i bardzo prorocze“ — odpowiedział na dobre rozbudzony stryj, który, nie wierząc w strachy, z zapalem podchwycił baśń o śpiących rycerzach.

— „Przejeżdżałem dość często obok tej tajemniczej czereśni i myślałem nieraz o legendzie ludu polskiego, w której wiele wyroczeni, jak sądzę, się mieści. Zapamiętaj Adamie: „Ci śpiący rycerze, o których lud wspomina, odżyją jeszcze w synach wielkopolskiej ziemi, gdyż raz przecież dopełnić się musi czara cierpień narodu pod jarzmem Prusaka. Chwila ta wcześniej

nastąpi, jak przypuszczamy, gdyż sam ją sobie Niemiec zgotuje, bo zgotować swoją butą musi. Nie dożyję może tej godziny, kiedy tu na tych wzgórzach stoczą nasi bracia bój przeciw odwiecznym wrogom naszej Ojczyzny“.

— „Oby przepowiednia stryja wczesnie czynem się stała. — Nawet dziś burowie*) w Afryce szczęśliwie za broń chwycili przeciw potędze, jaką jest Anglia“. Odparł wzruszony Zawirski. Zamilkli w senności... — Jądąc pod górę, zbliżali się stępa do majaczących z lewej strony drogi wiatraków. W tej chwili księżyc, przyćmiony rozstrzępioną chmurą, zasłał podosieckie wzgórze ze sterczącymi nań, jak rycerze — olbrzymy, wiatrakami, oraz cmentarzysko pobliskie zastępem tajemniczych cieni, błędzących na kurhanach jak duchy...

Snać już się budzą śpiący rycerze! A zdala, łagodnie szumiące lasy i konary starej czereśni, nuciły uroczystą pieśń o przyszłych bohaterach i Zmartwychwstaniu Polski!...

Północ wybiła w Osiecznie, gdy ja-

*) Burowie, koloniści w Afryce poł., 1898 r. chwycili za broń przeciw Anglikom.

dącym przyśnił się sen o szpadzie polskiej...

*

Adam już nazajutrz, w święto Palmowej, zaszedł z plebanii na uroczystą mszę św. Niemymi znakami radości powitał go, zmiatając ścieżynę, dawny pastuch plebański, którego we wsi z powodu kalectwa Głuchem nazywano. Od młodości przygarnął go jegomość do siebie. Zawirski, omijając zwały śnieżne, boczną furtą przedostał się z dziedzińca na cmentarz kościelny. Drewniany kościółek świerczyński nic się w międzyczasie nie zmienił. Te same wiekowe lipy szumiały nad starą mchem porośłą świątynią, a z śnieżnej bieli jej dachów wyzierały wśród wirującej zadymki plamy namurszałych gontów. Jak zwykł dawniej to czynić, udał się przez kruchtę po skrzypiących ze starości schodach na chór kościelny, zalany światłem barwnego witrażu. Spóźnił się mimo przedługiej, w palmową niedzielę, ewangelii, gdyż przed ołtarzem ksiądz Stanisław już się zbliżał do ofiary ciała i krwi Pańskiej. Księdzu przy śpiewie, jak zwykle w Świerczynie, zawtórowały najpierw tajemnicze

stuki nieco piskliwych miechów, nady-
manych przez starego kalkalistę, a do-
piero po chwili odezwała się w tej
samej oktawie odpowiedź organisty.
Skinieniem głowy witał Zawirski zna-
jomych. Byli to przeważnie nauczy-
ciele z parafii, otoczeni młodzą chóru
śpiewaczego św. Cecylii. Przy orga-
nach, bacznie śledząc wielki ołtarz ko-
ścioła, siedział podstarzały pan Szy-
mon a obok niego pan Stachu Gla-
piński, szanowany nauczyciel i malarz-
artysta z Garzyna, prawa ręka księdza
proboszcza. A teraz dopiero, gdzieś
w mrocznej głębi, zarysowała się, jak
zjawa w powietrzu zawisła, postać gar-
batego Walentego, przestępującego z
nogi na nogę na wyniosłych pedałach.
Ponad nawą kościoła siedział na bel-
ce ten sam św. Łukasz, rzeźbiony kie-
dyś w drzewie lipowym domorosłym
kunsztem Majchrzaków z Karchowa.
Z wysoka, niemal z pułapu, św. pa-
tron kościoła zdał się błogosławić roz-
modlonej rzeszy parafian.

Adam w blasku świec, płonących
nad nawą, dogodnie ogarniał wzro-
kiem barwne wnętrze kościoła i wszę-
dy wśród wiernych poznawał twarze i
postacie przybyłych. Tuż pod chórem,



wśród kumów i licznej rodziny, stał pełen godności, z grubym „Duninem“ pod pachą, Walenty Filipowski, do-rodnymi otoczony synami. Zaraz w pobliżu, siedząc na wsuniętej pod ścianę ławie przesuwiał stary Konieczny z Świerczyny w nabożnym skupieniu ziarnka różańca, przywiezionego mu, jak się chwalił, ze samej ziemi świętej przez dawno zmarłego proboszcza, ks. Theinerta. Krocząc przez wieś w czarnej sukmanie i w palonych butach, zawsze przypominał raczej plebana, niż gospodarza z Świerczyny. A od ołtarza z prawej strony przed baldachimem siedział z dwoma synami, dobrodziej kościoła, dziedzic p. Ponikiewski z Brylewa. — Kolatorską zaś ławę, czerwono wybijaną, zajmowała zesła właścicielka Świerczyny, z ułomną córką, którą p. Nisią zwano. Dawna dziewczeczka przypominała wiernym lepsze dla niej lata, kiedy jeszcze czwórka rasowych siwoszów podwoziła ją z pobliskiego pałacu pod sam kościół świerczyński. Unikali jej ludzie, od- kąd obcym przefrymarczyła tysiące morgów ziemi krwawicą ludu polskiego od wieków uprawnej. Głębiej z lewej strony, wpatrzony w ołtarz Prze-

mienienia Pańskiego, modlił się Wawrzyn Pawłowski, znany gawędziarz i mówca weselny z Łoniewa, a obok niego, klęcząc na posadzce, bił się żarliwie w piersi, poważany w dozorze Wojciech Skrobała, także z Łoniewa. Mądry był to gospodarz, a mówiono na ucho, że bogacz nielada. Sam landrat z Leszna stawiał go, o czym ksiądz proboszcz często wspominał, jako wzór niemieckim kulturtraegerom, przybyłym z Westfalii. Bliżej ołtarza, już pod chorągwiami bractw i towarzystw, odbierała insza starszyczna z rąk przybranego w komżę kowala, Jana Banacha, olbrzymie świece woskowe. Stali tu gromadą Kozica i Prałat z Grodziska, pełen powagi stary Tomasz Skorupka z żoną Zuzanną aż z samego Kosowa, Bartkowiak z kumotrem Maciejem Klupsią i Józefem Szyszkowiakiem z Łoniewa, dalej Gabryszczak z szwagrem Ptaszyńskim i Musielakiem ze Zbytków; zaś z Garzyna stał opodal Pazoła, dalej wąsaty Kasiński, i chłop olbrzym Jan Katarzysński z bratem z Drobnina. I tak wszędzie, gdzie tylko okiem spojrzeć, poznawał znajomych. Już w kruchcie powitali Adama nawet z da-

lekiego Hersztupowa przybyły znany koniarz, Dzik Franciszek z bratem Walentym i świątkarzem Andrzejem Majchrzakiem z Karchowa. Zabrał ich po drodze, gdyż po onegdajszej śnieżycy zasyły śnieżne w lesie do kolan sięgały. Mówił też Adamowi kościelny Buchwald, że zima, jak rzadko kiedy w Polsce, dokucza długo i srogo. W styczniu saniami z Ustronia przez*) Godziebel do Osieczny jechano a w głębokim ominońskim jeziorze**) już przed Godami niewodem ryby chwymano.

Dziwowali się ludziska, że jeszcze po św. Józefie pokrył śnieg drogi zaspami, a mróz chwytał ponownie, choć za pasem była Wielkanoc. Wprawdzie, w dniach słonecznych, już dawno słyszano śpiewne firlanie skowronka. Co prawda, dziś niezgorzej było w kościele. Podczas sumy, nawet rękawice ściągano, tak wielka była ciżba parafian. Gdyż też jeszcze, przy końcu nabożeństwa, spóźniona skutkiem ciężkiej przez śnieg przeprawy, gromada

*) Patrz Ks. Kozierowski: Godziebel jezioro na Świerczynie od Berdychowa.

**) Ominino jezioro w pobliżu Chmielkowa pod Bojanicami.

ludu z Kaczejgórki, a nawet z Krzemienia i Frankowa, w kozuchach wozami i sanna na sumę zjechała.

Nie dziwota, — szeptały między sobą w kruchcie baby kościelne, — boć, w dzień Palmowej, w kościele się pokazać koniecznie wszystkim wypadło. Nawet znana latawica Helyna, ta od Mroziów z Kleszczewa, którą ksiądz przed rokiem z kościoła wyżył, od nowa do kruchty przybyła. Dyć było wiadomo, że, choć Jegomość równą swych parafian otacza miłością, u każdego surowo baczy na wypełnianie Bożych przykazań. Każdy więc pragnął, jadąc dziś do parafialnego, nie tylko własnemu sumieniu przedstawić się w świetle najlepszym. Zresztą ksiądz proboszcz bacznie śledził okiem z kazalnicy i zapamiętał wszystkich, którzy omijali nabożeństwo w tym dniu uroczystym. Znał w parafii każdego, gdyż z każdym chętnie przysposobności, choćby na drodze wdawał się w pogawędkę. Zbliżała się Wielkanoc, z nią zaś przy spowiedzi dla tyluż ludzi grzechów odpuszczenie.

Tak sobie przez całą mszę św. o wszystkim rozprawiały, przykucnięte w

ciemnym kącie kruchty znane plotkarki świerczyńskie, kulawa Maryna z plebani i stara Jagna ze dworu, którą mądrą zwano, gdyż suchoty kołtunem spędzała a wszelkie choroby wykadzać umiała. Na Agnus Dei tłum kobiet dotychczas stojący z pękami różg palmowych w przedniej nawie kościoła, unosząc barwne spódnice przykląkł lub przysiadł przed wielkim ołtarzem, z którego się uśmiechała cudowna Matka Boska świerczyńska. Otaczające obraz wota mówiły każdemu o cudach tu doznawanych. Kute z srebra serca, ręce, nogi, nawet złote oczy i ucho, budziły u każdego wspomnienia, usłyszane za młodu o nieuleczalnych chorobach wiernych, zawdzięczających swe uzdrowienie świerczyńskiej Pa-nience.

Skończyła się msza św. a po niej nastąpiło uroczyste wystawienie Przenajświętszego Sakramentu. Ks. proboszcz oddawał ostatnią cześć Zbawicielowi, utajonemu w złocistej monstrancji, promieniującej zdała w blasku świec na ołtarzu gorejących. Jakaś tajemnicza cisza zaległa całą świątynię, przerywana jedynie pokaszliwaniem dzieci i wzdychaniem ludzi, szep-

cących w skupieniu swe modły. Z podrzucanego przez księdza trybularza kłębiaste chmurki dymu, coraz wyżej sięgając, ogarniały ołtarz z Cudowną Panią i przepajały kościół ofiarną wonią kadzidła. Modląc się, często przyklękiwał Jegomość, by za chwilę, już odwrócony do parafian, błogosławić monstrancją rzeszy, korzącej się na klęczkach przed Majestatem Bożym. Zabrzmiał jazgot dzwonek, wtorując westchnieniom bijących się w piersi wiernych. Jeszcze moment cichej modlitwy, a z piersi celebranta potoczyła się w kościół pieśń uroczysta „Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny“... Podchwycił ją organista, zagrzały organy i już z piersi ludu wróciła ku ołtarzowi fala, usilnie błagalną o litość w ziemskiej udreće. Jeszcze ostatni akord hymnu nie przebrzmiał, kiedy ks. proboszcz śpiesząc do chorego, odszedł od ołtarza. Chwila minęła. Nagle jakiś złowieszczy, pomruk ogarnął na chóрку młodzież śpiewaczą, udzielając się niepokojem całej rzeszy pobożnych. Jak grom spadła na parafian wieść o uwięzieniu we Wronkach ks. Antoniego Jezierskiego, dziekana z Lubinia, za sło-

wa pociechy, padłe z ambony, że „Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy, że karząca Opatrzności ręka dotknie przestładowców.“ Zakotłowało w kościele, a coraz większe szemranie świadczyło o wzburzeniu gromadnie wystającego ludu. Wówczas ktoś z chóru, nie bacząc na świętość miejsca, rzucił w kościół hasło zakazanej pieśni bojowej. I już, z skargą na ustach za depantaną wolność kochanej Ojczyzny, śpiewał lud cały „Z dymem pożarów...“ Zawtórowały organy... Potężniał z pierśsi parafian hymn wielki, a ściany świątyni świerczyńskiej drżały jak nigdy przysięgą zbliżających się pomsty i porachunków za krzywdy i cierpienia doznane w srogiej niewoli.

*

Lat z górą dwadzieścia, kiedy Adam Zawirski z ks. Stanisławem snuł w nocnej z Leszna przeprawie marzenia o polskim żołnierzu. Dziś, jako dojrzały mężczyzna, służąc w grudniu 1919 r. Wielkiej Sprawie budzącej się Ojczyzny. uciekał przed ścigającymi go Niemcami tą samą drogą ku lasom osieckim. Fortelem przedarł się wspólnie ze stangretem Józefem Głapiakiem, przez patrol Grenzschutz,

pełniącego pod Grzybowem straż nad wysuniętą przed pasem neutralnym aż dotąd linię graniczną. Mroźny, choć bezśnieżny wieczór grudnia ogarniał jadących swym przenikliwym wiatrem, który, hucząc i świszcząc po nagiej szosie, zagnał ich wkrótce do lasu o gęstem, żółkłym podszyciu. Teraz już swobodniej rozejrzał się Zawirski i myślą pobiegł do owej chwili, kiedy ze stryjem, jeszcze jako młodzieniec, tędy przejeżdżał.

Las podówczas uroczy, dziś ciszą zamarły, czynił pustką przykre wrażenie. Zwiędłe zielska i trawy, wyrosłe wśród zawieruchy wojennej, zasłaly badyłami powierzchnię jezdni. Dawny, cudny zaś jej miraż, przepiękne przydrożne stare brzozy, sterczały już tylko pniakami. Padły pod ciosami brutalnej siekiery, w ciężkich latach światowej wojny. Dumającemu Adamowi nagle za lasem zamajaczyły konary, znanej mu z pierwszej jego podróży, baśnią otoczonej, starej czeleśni. Ocknął się z zadumy, niesamowitego doznając uczucia. I znów konie, zbliżywszy się do drzewa, jakoby piorunem rażone, dęba stanęły. — Gromkie stój! huknęło od niego. Szara

postać żołnierza polskiego wynurzyła się przed jadącymi. — Widocznie turkot powózki wywabił powstańca z poza czereśni, chroniącej od wiatru i Niemców, strzelających jeszcze i teraz ze zdradzieckiej zasadki. Przecież przed pół rokiem padli tu w pobliżu od kul Grenzschutzu śmiercią bohaterską nasi rycerze z Andrzejewskim i Włodarczakiem na czele. — Wyśnił się Zawirskiemu sen o szpadzie i żołnierzu polskim. Opuściwszy powózkę, ze łzami radości ujął żołnierza w ramiona. Świstem i łomotem wierzchołków sosny i konarów czereśni zawodząca wichura powoli przycichła.

Adam, zadowolony z ujrzenia pierwszego żołnierza polskiego, promieniał radością, a patrol, już siedząc obok niego, polecił skierować konie ku dymiącej zdala pierwszej chacie Trzebani. Kwaterowała tu czołowa komenda powstańców. Ujęty gościnnem przyjęciem dzielnych wojaków postanowił Zawirski przepędzić noc całą w gronie żołnierzy powstańców. W nastrojowych godzinach wieczornych snuł w

*) Niebawem mrozy 1929 r. zniszczyły stare olbrzymie czereśnie.

mrocznej lekko oświetlonej izbie jeden ze starszych wiarusów gawędę o dzielnych bohaterach - kompanach, kojarząc ich przejścia i wielkie czyny z baśnią i przepowiednią z pod starej cze-reśni.

— „Wyśnił się Polsce, mówił, sen o szpadzie i śpiących rycerzach, również na wzgórzach i dawnych kurhanach osieckich. — Tam, za cmentarzem, z garstką słabo uzbrojonych naszych, oczekiwaliśmy w mroźnym dniu styczniowym nieprzejednanego wroga! Za nami — niby w rezerwie — stały pachołęta małe z gromadką matek i dziewcząt, dzierżące łomy i żerdzie w rękę. — Ukazały się groźne, w pełni rysztunku zbrojne, zastępy Prusaków. Dziesięciu z nich na jednego z naszych. — I poszliśmy w bój na grad kul, ostre bagnety i ziejące śmiercią armaty! Snać z kurhanów powstający rycerze dodawali nam siły i męstwa w tej nierównej walce swem hasłem dawnych surm bojowych: Za wiarę, wolność i ukochaną Ojczyznę!... — Zwyciężyliśmy! — Krwią bohaterów zrosiły się pola i wzgórza osieckie i pomnożyły zastępy śpiących rycerzy.

Polegli, — ot tam, — pod wiatra-

kami, spełniając obowiązek, posłuszni
rozkazom Ojczyzny!" —

*

Podstarzały ksiądz Stanisław często
błogosławił z okien swej plebanii
naszych zwycięzców - żołnierzy, ćwiczą-
cych na śniegiem zasłanych polach
świerczyńskich. Dziękował Opatrzno-
ści, że pozwoliła mu doczekać jeszcze
tych pięknych dni życia, gdzie gościł
na plebanii placówkę Polskich Ułanów.

Roku Pańskiego 1920-go, w dniu
17 stycznia, wziął udział w dziejowej
uroczystości wkroczenia wojsk polskich
do Leszna i danem Mu było na pierw-
szem przyjęciu, w którym wdzięczni
obywatele miasta podejmowali swych
Oswobodzicieli, jako ostatnie przemó-
wienie, wznieść toast na cześć i chwałę
poległych boahterów-rycerzy, Niech
spoczywają w wiecznym spokoju! —
Niech lasy osieckie wraz z zawodzącą
wśród wichrów starą czereśnią, szumią
Im w najdalsze lata pieśnią wdzięcz-
ności za krew bohatersko przelaną ku
chwale dziś już wolnej Ojczyzny."

* * *

A lud niechaj nadal snuje w baśni
o starym drzewie nowe legendy o śpią-
cych rycerzach!



Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001020911094

28. 11. 1939 *lll*